

Michał Głowiński

Style bycia, style mowy : notatki z dawnych czasów

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 6 (18), 83-102

1992

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Świadectwa

Michał Głowiński

Style bycia, style mowy (Notatki z dawnych czasów)

Żelazna miotła: Werblan 1958 — Werblan 1968

Teksty oficjalne czyta się niemal wyłącznie w gazetach. Niektóre ukazują się potem w książkach, każdy z kolejnych przywódców jest autorem wielu tomów, a Breżniew występuje wręcz w roli literata; ich jedynym przeznaczeniem jest zawalanie księgarń i bibliotek. Przypadkiem znalazły się w moich rękach *Szkice i polemiki* Andrzeja Werblana (Warszawa 1970), złożone z tekstów z lat 1958–1969. Niektóre z nich pamiętałem, stwierdziłem jednak, że czyta się je inaczej, gdy są zebrane w tomie. W dzienniku czy w miesięczniku nie stanowią rzeczywistości wyłączonej. Można ich lekturę przerwać, by zatrzymać oko na jakimś, choćby najgłupszym, felietonie, na prognozie pogody, nekrologach czy repertuarze kin, można więc — odetchnąć. Podczas lektury książki dzieje się inaczej, nie ma w niej przerywników. I dlatego czytanie tego rodzaju tekstów w tej postaci robi jeszcze bardziej przygnębiające wrażenie. Książka Werblana jest od początku do końca popisem nowomowy, co tym wyraźniejsze, że posługuje się on na ogół polszczyzną poprawną i unika wyskoków. Jest to jednak polszczyzna urzędniczo szara, wyzbyta jakichkolwiek właściwości indywidualnych. Zajmę się tu dwoma artykułami Werblana, w swoim czasie głośnymi, bo wyrażają-

cymi bez ogródek to, co inni autorzy oficjalni kamuflowali bądź formułowali w postaci nie tak czystej. Zajmę się mianowicie tekstem przemówienia *O socjalistyczny kierunek działalności kulturalnej* z roku 1958 i artykułem *Przyczynki do genezy konfliktu*, ogłoszonym w roku 1968 w „Miesięczniku Literackim” i stanowiącym ideologiczne uzasadnienie partyjnego antysemityzmu. Porównanie tych dwu elukubracji może się okazać interesujące — oczywiście nie dlatego, że pozwoli przedstawić indywidualną ewolucję Werblana (tym nie warto byłoby się zajmować), ale z tej racji, że rzuci światło na pewne zmiany w reżimowych wypowiedziach.

I w roku 1958, i dziesięć lat później Werblan występuje w roli ideologa, co wyraża się w tym, że opinie swoje chce motywować poprzez odwołania do ogólnych zasad marksizmu, odwołania, które jego wypowiedziom („wystąpieniom” — jakby się powiedziało w nowomowie) mają nadać charakter teoretyczny i naukowy. Jego demagogia ma więc mniej cech wiecowych niż inne tego rodzaju teksty, dba się tu nie tyle o pozory racjonalności, co o to, by każde z twierdzeń miało oparcie w ortodoksji. Jego sposób konstruowania wypowiedzi, niezależnie od tematu, wywodzi się bezpośrednio ze stylu lat stalinowskich. Pod tym względem obydwa teksty, choć dzieli je dziesięciolecie, niczym się od siebie nie różnią. Podmiot w tych artykułach jest podmiotem partyjnym, przez usta autora przemawia bezpośrednio partia; wie on zawsze wszystko lepiej, każdy fakt, każde wydarzenie może więc autorytatywnie skomentować i wyjaśnić, bo wychodzi ze słusznych założeń i operuje jedynie słusznymi kryteriami. Przeprowadza też wyraźne, nie znające jakichkolwiek zawikłań, podziały dychotomiczne. Podstawową kategorią, umożliwiającą i motywującą dokonywanie tych podziałów, jest kategoria słuszności. Dozwolone i godne poparcia jest to tylko, co słuszne. Z kryteriów słuszności autor się nie tłumaczy, słuszne jest to, co mówi partia, uzbrojona w jedynie naukową i jedynie słuszną teorię marksizmu-leninizmu. Słuszność traktowana jest jak aksjomat. Wywody opierają się na tautologii i do niej prowadzą: słuszne jest to, co jest słuszne. I jeszcze jedno podobieństwo: mimo swego „teoretycznego” zakroju obydwa artykuły mają cele doraźnie aktualne: w pierwszym przypadku likwidację resztek odwilżowych swobód, w drugim — ostateczne wyrugowanie Żydów z polskiego życia publicznego.

Interesujące wydają się różnice między Werblanem 1958 i Werblanem 1968, wynikające nie tylko z tego, że różny był przedmiot ataku, ale

także — z sytuacji ogólnej. W roku 1958 występuje on z pełnym programem restalinizacji, nie może się jednak *expressis verbis* do tego przyznać, gdyż osłabiłoby to jego pozycję. Godzi się więc, że partia popełniła błędy i zapewnia, że do błędów tych nie ma powrotu. Atak jego kieruje się jednak na tych, którzy błędy te krytykują, gdyż nie czynią tego z pozycji partyjnych (czyli słusznych), a ponadto krytykując, kwestionują samą istotę socjalizmu i jego zdobycze. Wydaje się, że dwa lata po Październiku działacz partyjny, jeśli chciał, by głos jego był w ogóle słyszany, musiał przyjmować takie założenia wstępne, a więc przynajmniej częściowo interioryzować ówczesne nastroje i oczekiwania. Z zajęcia takich właśnie pozycji niewiele jednak wynika, gdyż cały wywód opiera się na tych przesłankach, które pełnią życia cieszyły się właśnie w okresie stalinowskim. Swoistością przemówienia z roku 1958 jest to, że zwraca się ono do pisarzy partyjnych. Do tych, których w języku ortodoksji komunistycznej określa się jako rewizjonistów. To właśnie rewizjoniści są głównym zagrożeniem, to oni dokonują niesłusznej krytyki socjalizmu. W ataku na nich zdumiewa — gdy się patrzy z dzisiejszej perspektywy — rola tradycyjnych marksistowskich schematów, w których kategoriami podstawowymi są: walka klasowa, klasowy wróg, burżuazja itp. Schematami tymi manipuluje Werblan w pełni po stalinowsku: ci, co nas krytykują, są na usługach burżuazji i obiektywnie służą restytucji kapitalizmu. Jeśli się tekst ten interpretuje jako dokument walk partyjnej ortodoksji z tendencjami liberalnymi, to zdumiewa, że konflikt toczy się wyłącznie wewnątrz partii. Reszta społeczeństwa w ogóle się nie liczy, nie bierze się jej pod uwagę.

W roku 1968 Werblan mówi również o rewizjonistach, ale w całkiem innym kontekście. W tradycyjnym marksizmie rewizjonizm był kategorią ponadnarodową, w *Przyczyńku do genezy konfliktu* stał się zaś przypadłością właściwą działaczom należącym do jednego tylko narodu, a nawet — cechą rasową. Charakterystyczne, że aby umotywować słuszność (znowu ta „słuszność”) antysemitycznych poczynań, Werblan także używa narzędzi ortodoksyjnego marksizmu, przede wszystkim teorii walki klas i klasowego zdeterminowania ludzkich działań. Można by powiedzieć, że tłumaczy antysemityzm na język marksizmu. Najistotniejsze wydaje się jednak przesunięcie w podziale: my — wrogowie. Od wyznaczników klasowych — do narodowych. Linia demarkacyjna przebiega tutaj już nie między realizującą słuszną

linię partią i jej marksistowsko-leninowskim kierownictwem a rewizjonistami, lecz między Polakami, którzy tej linii są wierni przykładnie wyznają zasady socjalizmu, a Żydami, którzy z natury swej sytuacji są rewizjonistami (bądź dogmatykami), a więc obcym ciałem zatruwającym jądami zdrowe społeczeństwo. Werblan 1958 takiego wyводу nie mógłby sformułować, choć i wtedy był zapewne antysemitą. Werblan 1968 nie odczuwał już żadnych przeszkód, by takie idee głosić — i to pozostając wierny marksizmowi-leninizmowi. Gdy czyta się jego *Przyczynek* z dzisiejszej perspektywy, równo po dwunastu latach, rzucają się w oczy dwie rzeczy. Po pierwsze, tendencja, by antysemityzm, lub ogólnie — emocje narodowe, formułować w języku marksizmu, jest już dzisiaj zjawiskiem historycznym; propaganda, jeśli nie całkowicie, to w dużym stopniu zrezygnowała z tego krępującego ją sztafażu, uniemożliwiającego formowanie odczuć w tej dziedzinie. Po drugie, tendencja, by łączyć przeciwstawienie: Polacy — obcy oraz zwolennicy socjalizmu i jego przeciwnicy, jest od roku 1968 niezmiennym wyznacznikiem propagandy, choć przybiera różne postacie, raz mniej, raz bardziej agresywne i nie musi się zawsze łączyć z Żydami bądź Niemcami. Oglądany pod tym kątem, artykuł Werblana należy do tych tekstów z końca lat sześćdziesiątych, które dokumentują jeden z istotniejszych przełomów w kształtowaniu technik propagandowych reżimu.

Czytane z pewnego punktu widzenia, obydwa artykuły Werblana — o czym już wspominałem — należą do zamierzchłej historii. W Polsce nie ma już rewizjonistów, a propagandyści, nawet gdy nie liczą się z rzeczywistością (tak zwykle bywa), nie czują potrzeby polemizowania z nimi. Jest demokratyczna opozycja, w której zresztą znalazło się trochę dawnych tzw. rewizjonistów. Z nią jednak partia polemizuje za pomocą milicyjnych pałek, stosuje więc retorykę trudną do opisania na tych kartach. Werblan o pałkach nie mówi, pisze jednak o żelaznej miotle, służącej do wymiatania wrogów Polski i socjalizmu. Ta metafora wydaje mi się niezmiernie charakterystyczna. Wszystko, co ten człowiek robi i pisze, określić można właśnie jako posługiwanie się żelazną miotłą. Ale chodzi nie tylko o to. „Żelazna miotła” jest metaforą typowo stalinowską. „Żelazny” to jedno z ulubionych słów Stalina, który zwykł mawiać o żelaznej logice, żelaznych prawach historii itp. Czasem w jednej przypadkowej metaforze wyraża się cała ideologia i cała tradycja. Werblan 1958 i Werblan 1968. A Werblan 1980, Werblan dużo ważniej-

szy, na szczytach władzy? Nie dysponuję żadnym jego tekstem z ostatnich czasów, który mógłbym porównać z wcieleniami poprzednimi. Nie wykluczam jednak, że kiedyś, jak się nadarzy okazja, napiszę dalszy ciąg tych uwag.

3 VI 1980

Style bycia — style mowy

Z faktu, że w systemie komunistycznym pierwszy sekretarz partii jest postacią najważniejszą, dominującą, wynikają różnorakie konsekwencje, nie tylko polityczne. Interesuje mnie sprawa może nie najważniejsza, ale jednak istotna, a mianowicie: jak sposób bycia pierwszego sekretarza wpływa na oficjalne normy obyczajowe, na styl zachowania, a więc także styl mówienia — nie tylko jego, ale partii, propagandy, czy najogólniej — rządzących. Jest niemal zasadą, że pierwszy sekretarz po objęciu władzy stara się w pewnej przynajmniej mierze zachowywać inaczej niż jego bezpośredni poprzednik. Te różnice w zachowaniu niekiedy nakładają się na różnice polityczne, nie musi to jednak stanowić reguły. Największym wyłomem w tej dziedzinie był sposób bycia Chruszczowa. Wniósł on do komunizmu żywioł marchołtowski, ludowy, choć oczywiście nie w pełni wyzwolił się od oficjalnej obyczajowości. Zachowania, powiedzenia i reakcje Chruszczowa nie dawały się przewidzieć i niekiedy mogły wydawać się nieobliczalne. Przykładem najgłośniejszym i zarazem najbardziej spektakularnym było trzaśnięcie butem o mównicę w ONZ. Jego sposób bycia wyraźnie kontrastował z bizantyzmem Stalina. Z kolei zachowania Breżniewa, w każdym calu biurokratyczne, kontrastują z tym, jak się publicznie nosił Chruszczow.

W Polsce obserwujemy działanie podobnej reguły, aczkolwiek nie na skalę imperium. Gomułka — Gierek — Kania. Zachowanie każdego z nich jest określone w większej lub mniejszej mierze przez sposób bycia poprzednika, choć w przypadku Kani — po pierwszym miesiącu panowania — można się tego jedynie domyślać. Pierwsze miesiące władzy są zresztą na ogół nietypowe. Nowo wybrany numer jeden zabiega wtedy o popularność, o wytworzenie i utrwalenie obrazu swojej osoby w opinii społecznej, a przede wszystkim — przedstawia projekty reform, różne rzeczy obiecuje, by szybko o nich zapomnieć. Zachowania Gomułki w początkowym okresie władzy, kiedy cieszył

się popularnością i uchodził wręcz za męża opatrznościowego, znacznie się różniły od jego sposobu bycia w latach następnych, kiedy był dyktatorem, nie pamiętającym o tym, jaki ruch społeczny wyniósł go do władzy. W swej mentalności Gomułka pozostał prostym człowiekiem, którego wyobrażenia o świecie określiło ubogie dzieciństwo w robotniczej rodzinie oraz przedwojenna aktywność w partii komunistycznej. Nie rozumiał społecznych aspiracji, bo to wszystko, co było powyżej poziomu życia rodziny robotniczej z początku wieku w ubogim regionie Polski, wydawało mu się luksusem. Luksusem była choćby kawa, której wtedy w tym środowisku się nie pijało. Luksusem był samochód, więcej — luksusem było zwykłe skromne mieszkanie. Styl Gomułki był stylem ograniczenia i ascezy. Taki też był chyba jego osobisty sposób bycia. Oddziałł on i na styl jego przemawiania, a także — styl kontaktów ze społeczeństwem. W ostatnich latach były one zresztą coraz rzadsze, ograniczały się do spotkań z kamarylą. Gomułka mówił nowomową; w jego przemówieniach nieustannie dochodziły do głosu takie wątki, jak oskarżenia o to, że Polacy za dużo jedzą, żyją ponad stan, mają zbyt wysokie aspiracje. Osobista asceza nie uchroniła go od tego, co się określa w komunistycznym żargonie jako kult jednostki.

Przebieg biografii politycznej Gierka jest podobny, różnice wydają się jednak godne uwagi. Zanim jednak rozwinę tę sprawę, chciałbym zatrzymać się nad epizodem nie zrealizowanym, jedynie potencjalnym, choć ważnym. Myślę tu o Moczarze i jego dążeniach do objęcia najwyższego stanowiska w partii. Moczar, apelując do przeżyć patriotycznych, chciał ukształtować swój obraz jako dobrego Polaka. I on, i jego zwolennicy odwoływali się do frazesu patriotycznego. Gomułka zachowywał się z dystansem, według klasycznych wzorów komunistycznej biurokracji, Moczar chciał pokazać, że jest „swoją chłop”. W praktyce okazywało się, że jest przede wszystkim „swoim milicjantem”, intencje pozostały jednak wyraźne. Brutalność, organizowany antysemityzm, antyinteligencckość (chyba jeszcze większa niż niechęć Gomułki do intelektualistów), a także — nieprawdopodobny wręcz prymitywizm tworzyły inny od zamierzonego obraz społeczny tego człowieka. Retoryka jego propagandzistów zbliżała się do pyskówek z prasy brukowej i wymyślań z najgorszych lat stalinizmu, była swoistą syntezą tych wcale nie tak sobie dalekich, jakby się na pierwszy rzut oka wydawać mogło, żywiołów.

Moczar nie został numerem jeden, lansowany przez niego styl nie stał się obowiązujący. Przyszedł Gierek, mówiący lepiej i bardziej elegancko niż upadły dyktator, lepiej też i bardziej elegancko niż konkurent do stanowiska. Na samym początku swych rządów starał się zarysować swój obraz jako przywódcy rozważnego i poważnego, który prowadzi szczery dialog ze społeczeństwem. Miał talenty aktorskie, niezłą prezencję i dobrze brzmiący niski głos, różne sztuczki więc się udawały; na słynne „pomożecie?” robotnicy odpowiedzieli pozytywnie. Trzeba przyznać, że w pierwszych latach poziom oficjalnej retoryki podniósł się znacznie (by potem, dość szybko, radykalnie się obniżyć). Gierek zerwał z małostkowością, charakterystyczną dla wielu wypowiedzi Gomułki, nie wdawał się w polemiki z literatami, nie wypominał Prymasowi Wyszyńskiemu, że wyjeżdżając do Watykanu wywozi dewizy (nie pamiętam dokładnie kiedy, ale było to w każdym razie pod koniec czternastolecia Gomułki, prasa w napastliwym tonie się rozpisywała, że Wyszyński wywiózł jakieś dewizy; nawiasem mówiąc, to Gomułka właśnie wprowadził do Polski kult dolara, w czym wyrażała się mentalność chłopca, pochodzącego z tych okolic, z których na przełomie wieków emigrowano do Ameryki i przysyłano dolary rodzinom). Gierek kształtował swój styl od początku w opozycji do stylu Gomułki. Odrzucał jego prowincjonalność, otarł się o wielki świat — i umiał fakt ten dyskontować. Przede wszystkim jednak przeciwstawił się gomułkowskiej ascezie. Przestał wypominać Polakom, że za dużo jedzą i że w ogóle przewróciło im się w głowie. Uznał, że nowoczesne społeczeństwo powinno być społeczeństwem zmotoryzowanym. Nie chciał hamować ambicji konsumpcyjnych, popierał je. On sam przyjął pozę dobrego i troskliwego, a przede wszystkim — zadowolonego z siebie, ojca narodu, który dba o wielką polską rodzinę (tą formułą się posługiwał). Jego przemówienia niemal do końca były przemówieniami paternalistycznymi. Stał się wielkim komunistycznym panem, królem, któremu składa się hołdy i dla którego tworzy się fikcyjną rzeczywistość. W przeciwieństwie do Gomułki, nie działał tylko w głębi swego gabinetu, jeździł po Polsce, ale spotykał się jedynie z tzw. aktywem i z przedstawicielami władzy, a więc tymi, którzy konstruowali dla niego tę potiomkinowską atrapę. Słynne były historie, że jak miał przyjechać do jakiegoś miasteczka (bądź tylko przez nie przejeżdżać), to przedtem szorowano w nim ulice, a w PGR-ach, które łaskawie odwiedzał, wypożyczano od okolicznych

chłopów dobrze się prezentujące krowy, by w ten sposób ucieszyć pańskie i gospodarskie oko pierwszego sekretarza. Propaganda, trąbiąca nieustannie o wspaniałych osiągnięciach, przy każdej sposobności głośiła jego sławę. Były okresy, że na pierwszych stronach gazet każdego dnia ukazywały się jego zdjęcia. Informacja przekształciła się w kronikę dworską. Królował ceremoniał, o czym aluzyjnie wspomniał Kania w swym inauguracyjnym przemówieniu. Życie stawało się teatrem, w którym pierwszą osobą jest panujący sekretarz, teatrem dworskim, feudalnym, patetycznym. Przemówienia, mające coraz mniejszy kontakt z jakąkolwiek realnością, stawały się monologami w tym surrealistycznym spektaklu. Obowiązująca w nich nowomowa była już tylko igraniem słowami. Gierkowi zdawało się jednak, że cieszy się autorytetem, że społeczeństwo polskie rzeczywiście uważa go za dobrego ojca i żywi dla niego uczucie wdzięczności. Fama głosi, że był bardzo zdziwiony i zawiedziony, iż jego przemówienie z 18 sierpnia nie wywołało żadnej znaczącej robotniczej reakcji i nie wpłynęło na przerwanie strajków. Żył w świecie fikcji, którą sam sobie stworzył przy pomocy usługowych propagandystów. Nie mógł wiedzieć, że strajkujący w Gdańsku stoczniowcy w ogóle jego mowy nie chcieli słuchać; był w ich świadomości kimś tak zgranym i tak skompromitowanym, że niczego się po niej nie spodziewali. Trzeba jednak przyznać, że schodząc ze sceny tego upiornego teatru, nie kazał do robotników strzelać — może w jakiejś mierze i dlatego, by się odróżnić od Gomułki.

Przyszedł Kania. Teraz także zmiana stylu jest widoczna, choć trudno ją opisać po pięciu tygodniach władania, trudno tym bardziej, że w pierwszych tygodniach nowy szef niemal nie ujawniał się publicznie. Nie wiadomo oczywiście, ku czemu zmiana ta poprowadzi, jak się potoczy ewolucja. Sprawozdanie „Trybuny Ludu” z pobytu Kani w hucie „Warszawa” świadczy, że reguła działa: publiczne zachowania nowego władcy kształtują się w opozycji do sposobu bycia poprzednika. W przeciwieństwie do komunistycznej wielkopańskości Gierka, do jego komunistycznego bizantynizmu, Kania lansuje prostotę i bezpośredniość. Jak dowodzą — nieliczne dotąd — świadectwa, stara się nie przemawiać do aktywu, ale rozmawiać z robotnikami (co prawda tylko partyjnymi). Chce uniknąć teatralności. Optując za prostotą, nie popada jednak we właściwy Moczarowi styl „swojego chłopca”, rubasznego i fajnego. Przełamał bardzo radykalnie partyjne *decorum*: w hucie „Warszawa” nie pouczał robotników, ale pozwolił, by oni go pouczali,

takiego odwrócenia ról jeszcze dotychczas nie było. Kania unika retoryki, tak tej, która właściwa była Gomułce, jak tej, którą praktykował Gierek. Nie udaje mu się wyzwolić od nowomowy, choć ją ogranicza; pełne jej wyrugowanie nie jest w przypadku numeru jeden możliwe. O stylu Kani można mówić tylko jako o pewnej potencjalności. Jak się ukształtuje, zobaczymy.

11 X 1980

Trochę retrospekcji

Śledzę uważnie nowomowę od połowy lat sześćdziesiątych; jeśli zaś chodzi o lata wcześniejsze, to pamiętam poszczególne zjawiska od przypadku do przypadku, a także — ogólną tonację. To za mało, by pisać historię. W nowomowie wiele elementów ma charakter inwariantny, wiele jednak się zmienia. Współistnienie czynników stałych i zmiennych wydaje mi się łatwe do wytłumaczenia. O stałości decyduje to, że jest ona językiem podporządkowanym wyraźnie określonej polityce i ideologii, których zasady podlegają ewolucjom jedynie nieznacznym, ponadto wielką rolę grają takie determinanty stabilności, jak rytualność i zaawansowana schematyzacja; na zmienność wpływa to, że język ten musi pełnić różne funkcje doraźne, odpowiadać na partyjne potrzeby chwili, służyć rozmaitym — także momentalnym — trendom polityki i oddawać kolejne jej zakręty. Pomyślałem o tym, czytając ten fragment *Dziennika 1954* Leopolda Tyrmanda (Londyn 1980), w którym pisze on o II Zjeździe PZPR, jaki odbył się w marcu tamtego roku, a więc w pierwszą rocznicę śmierci Stalina, ale jeszcze w duchu w pełni stalinowskim. Po streszczeniu przemówienia ówczesnego głównego partyjnego ideologa, Adama Schaffa, Tyrmand pisze (s. 284):

I tak dalej, i dalej, żargon w przewalającym się przez salę obrad bełkocie. Ktoś chce zagnać uczniów do czytania *Młodej Gwardii*, więc domaga się, aby „otoczyć młodzież większą opieką”. Ktoś mówi, że „osiągnęliśmy przełom w nastrojach załogi” i znaczy to, że pół fabryki aresztowano. „Rolnicy uznali wyższość gospodarki zespołowej” znaczy, że puszczono z torbami kilka wsi przy pomocy rabunkowych świadczeń, odsypów, podatków. Mnie się najbardziej podoba termin „wąski praktycyzm”, co oznacza, że dźwиг portowy musi mieć wmontowane popiersie Stalina, zaś inżynierowie, którzy wyrażą wątpliwość w takie ulepszenie, grzeszą „wąskim praktycyzmem”. Ale nie najgorszy był też ów sekretarz partyjny z Łodzi, który skarżył się na endeckie wpływy w przemyśle tekstylnym. I pomyśleć, że ja zawsze miałem endeków za spłyciarzy i obskurantów, a tu taka siła duchowa, po piętnastu latach niebytu Stronnicstwo Narodowe ma takie wpływy! To ci ideologia!

Dzisiaj fragment ten brzmi jak karykatura, karykaturą wszakże nie jest — nawet jeśli Tyrmand wywody swe trochę podkolorował. Uchwycił on istotną cechę nowomowy, zwłaszcza tej z okresu stalinowskiego. Łagodnie brzmiące formuły znaczą całkiem coś innego niż na to wskazywałyby użyte w nich słowa. Język ten jest swojego rodzaju szyfrem, złożonym z eufemizmów, peryfraz i różnego rodzaju sformułowań, w których sensie zorientować się można pod tym jedynie warunkiem, że zna się konteksty i realia. Tyrmand tłumaczy więc nowomowę na normalny język polski tak, jakby była mową obcą. W okresie stalinowskim miała ona postać bardziej stężoną i zaawansowaną niż obecnie. Przewycięzanie stalinizmu w jego kanonicznej postaci w czasie ostatniego ćwierćwiecza polegało m. in. na ograniczaniu sfery działania tak pomyślanego języka. Wiadomo bowiem, że nowomowa ma charakter tym bardziej arbitralny, im władza bardziej czuje się bezkarna i może nie brać pod uwagę odczuć i aspiracji społecznych. A w okresie stalinowskim miała wszelkie po temu możliwości, by w ogóle się z nimi nie liczyć. Ten fałszywy język oczywiście nie zanikł, nadal przecież np. „praca ideologiczna” oznacza indoktrynację, a „podstawy ustroju socjalistycznego” to całkowita bezkarność rządzącej elity, wydaje się jednak, że — mimo wszystko — zasięg jego działania został w porównaniu z czasami klasycznego stalinizmu ograniczony.

14 VI 1981

Interes klasowy

Sposób mówienia osobliwego zespołu, który określa się jako Katowickie Forum Partyjne, przedstawiony został szerokiej publiczności w ponad godzinnej rozmowie telewizyjnej, nadanej 30 czerwca. Sposób mówienia straszny... Nie chodzi już nawet o to, że ci dziwni faceci, których większość pracuje w Śląskim Instytucie Naukowym (nie wiem, co to takiego — czy instytucja partyjna, wojewódzki odpowiednik Wyższej Szkoły Nauk Społecznych, czy też instytucja zajmująca się wyłącznie sprawami regionalnymi), mówią fatalną polszczyzną — z nieustannymi błędami gramatycznymi, wadliwie rozłożonymi akcentami i okropną intonacją; jest to polszczyzna zła z punktu widzenia szkolnej poprawności — i da się ją porównać bodaj tylko z tym, jak mówił Jan Szydłak, a jego wysłowienie było przez lata przysłowiowe. Istotne jest odnowienie słownictwa stalinowskiego w tej

jego postaci, która zdołała przez ostatnie ćwierćwiecze wyjść z obiegu, uschnąć. Stalinowski był sam ton, każdy z tych ludzi przemawiał tak jak prymitywny prokurator w procesie z lat pięćdziesiątych, z oskarżycielskim zapamiętaniem, pewnością siebie nie mającą sobie równych, z zacietrzewieniem czy wręcz — zapluwaniem się. Takiego pokazu stalinowskiej retoryki nie było już dawno. Wódz tej grupy, Wsiewołod Wołczew, mówił w sposób bardziej kulturalny (zresztą i ta „kulturalność” bardzo jest względna), ale zarazem z wyraźnymi naleciałościami rosyjskimi — tak w słownictwie, jak w intonacji. Dla oglądającego ten telewizyjny show gadanie w ten sposób musiało mieć wymowę symboliczną — jednoznaczną. I na to się nakładał język stalinowski. Pisałem już o odrodzeniu po Sierpniu języka marksistowskiej ortodoksji. Język katowickiego forum też mógłby być przykładem tego procesu, służyć jednak innym celom i ma inny charakter. W poprzednich wypadkach chodziło o oswojenie przemian poprzez wyrażenie ich w języku tradycyjnego marksizmu. Tutaj gra toczy się o co innego. Język ortodoksji stalinowskiej jest językiem odmowy, werbalizacją postaw, według których to, co się dzieje w Polsce, stanowi zdradę komunizmu i interesu klasowego robotników. A interesowi temu odpowiada to wszystko, co odpowiada interesowi partii, zwłaszcza zaś jej zawodowego aparatu. Po wystęпах członków forum nadano dyskusję z udziałem przedstawicieli tych organizacji partyjnych Śląska, które skrytykowały jego enuncjacje. Jeden z nich powiedział bez ogródek, że to, co katowickie forum nazywa interesem klasowym robotników, jest w istocie interesem klasowym aparatu partyjnego. Dla działaczy forum robotnik to aparatczyk.

2 VII 1981

Dziewiąty Zjazd — próba charakterystyki językowej

Ta robiona na gorąco próba, dzień po zakończeniu imprezy, będzie przede wszystkim zbiorem luźnych uwag, usiłujących uchwycić to, co najbardziej znaczące i najwyrazistsze. Francuski socjolingwista, Marcellesi, opublikował przed kilku laty książkę o języku jednego z kongresów francuskiej partii socjalistycznej w latach dwudziestych (niestety jest ona niedostępna w Warszawie). Z pewnością i ten Zjazd PZPR zasługiwałby na monografię, choćby dlatego, że różnił się od wszelkich poprzednich zjazdów partii — także w sposobach mówienia. Dwie różnice wydają się zasadnicze: ograniczenie rytualności

i różnorodność. Jeśli chodzi o zjawisko pierwsze, to żywioł obrzędowości zredukowany został do minimum. Ograniczał się do pewnych elementów scenariusza, nieuchronnych na tego rodzaju zlocie (przemówienia przedstawiceli bratnich partii, powitania itp.). Zachowano też partyjną etykietę, choćby w formach zwracania się do słuchaczy (obowiązujący incipit przemówień: „szanowni towarzysze” bądź „szanowne towarzyszki, szanowni towarzysze”; niektórzy, gdy chcieli nadać swym alokucjom charakter bardziej bezpośredni, dodawali: „drodzy”). Ta partyjna etykieta nie przesądzała jednak z góry o sposobach mówienia, była zewnętrznym elementem wystroju retorycznego. O załamaniu rytualności zdecydowała zmiana roli wstępnego referatu pierwszego sekretarza. Nie trzeba już było do niego czołobitnie się odwoływać, cytować, zapewniać, że myśli się tak samo. Na Zjeździe zabrakło tekstów–matryc, które zwykle bywają jednym z fundamentów rytualności. I to właśnie umożliwiło różnorodność. Od lat zajmuję się nowomową, jednak nie spotkałem jeszcze wielkiego zgromadzenia partyjnego, którego uczestnicy mówiliby w sposób tak zróżnicowany. A więc gdyby opisywać Zjazd jako całość, to stwierdzić by wypadało, że język partyjny jako spójny twór już nie istnieje. Elementy wspólnoty były w sumie niewielkie, sprowadzały się do rudymetów marksistowskiego wysłowienia. Ich przyjęcie nie przesądzało z góry o tym, co się mówi. Czasem w tym języku formułowano idee od ortodoksji partyjnej dalekie. Przykładem najbardziej charakterystycznym z tego, co czytałem bądź słyszałem, było pod tym względem przemówienie Grzegorza Rysza z Krosna. Oświadczył on, posługując się nieskazitelnymi kategoriami marksizmu, że powracające tak często w Polsce kryzysy nie są zjawiskiem przypadkowym i nie wynikają z konkretnych błędów tej czy innej ekipy przywódców; są następstwem faktu podstawowego: komunizm w Polsce nie wynikł w sposób naturalny z procesu rozwojowego, został wprowadzony w roku 1945 na skutek pewnego zbiegu okoliczności politycznych i militarnych. Wypowiedź ta kwestionowała jeden z głównych komunistycznych mitów (Polacy po wojnie wybrali drogę socjalistyczną), ale pozostała wierna marksizmowi.

O ile wiem, nie kwestionowano, przynajmniej *expressis verbis*, fundamentów ideologicznych partii, np. centralizmu demokratycznego, wiązania idei socjalizmu z ideą sojuszków, a więc tego, na czego straży stoją właśnie sojusznicy. Sfera różnorodności była jednak ogromna. Na tym Zjeździe posługiwano się wszystkimi językami, jakie kiedykolwiek

w PZPR funkcjonowały, od języka stalinowskiego począwszy. Każdy z tych języków występował w różnych wersjach, kształtowany był na różnych poziomach. Nawet język stalinowski, który w przemówieniu niejakiego Ojrzanowskiego z Gdańska przybrał postać rażąco prymitywną, przypominał gadania partyjnych krzykaczy z początku lat pięćdziesiątych (osobnik ów traktował równouprawnienie prywatnego rolnictwa jako przejaw godnego potępienia socjaldemokratyzmu); podobny charakter miały wypowiedzi członka katowickiego forum, Grębosza, w dyskusji nad projektem programu partii. Jednakże ten sam język stalinowski w wypowiedzi Kociołka ułożył się w całość logicznie zbudowaną (choć według zasad specyficznej partyjnej logiki) i współtworzył strukturę retoryczną o wyraźnych konturach. Osobny styl, wyraźnie krystalizujący się na Zjeździe, to mowa partyjnej biurokracji. Język ten czasem był pozbawiony bezpośrednich odwołań ideologicznych, na ogół jednak odgrywały w nim one jakąś, choć nie główną, rolę. W przeciwieństwie do języka ideologii, który niekiedy bywał bardziej giętki, służył on z reguły formułowaniu postaw konserwatywnych, nie wchłaniał niczego z tego, co nazwać by można językiem reform. Było wiele przemówień na tematy konkretne, które mogłyby zostać wygłoszone na jakiejś naradzie gospodarczej, nie podejmowano w nich wątków politycznych i ideologicznych, starano się przede wszystkim rozważać stan faktyczny; tutaj rzecz jasna najmniej było miejsca na tradycyjne elementy języka partyjnego.

A jak mówili partyjni liberałowie? Z zasady lepiej od swych bardziej twardogłowych towarzyszy. W niektórych przemówieniach ujawniały się jakieś wizje rozwoju, jakaś rzeczywista problematyka. Autorzy tych tekstów nie odchodzili od ortodoksji, starali się jednak mówić o konkretnych w sposób rzeczowy, w przeciwieństwie do swych towarzyszy — unikali akcentów agresywnych. Zdarzały się też teksty nietypowe, np. głos w dyskusji lekarza z Rabki, Kurdzielewicza, zwracający uwagę swym humanitarnym tonem. Szczególną uwagę przyciągnęło przemówienie delegata z Torunia, Zbigniewa Ciechana, ale — jak się zdaje — wyszedł on już poza granice partyjnego myślenia, nie był więc dla Zjazdu reprezentatywny.

Nowomowa na Zjeździe oczywiście nie zaniknęła i zaniknąć nie mogła, jest przecież stylem partii — niezależnie od takich czy innych politycznych zakrętów. Nie mogła zarówno dlatego, że nie zrezygnowano z wielu koncepcji, wzmówień, mitów, które zwerbalizować można tylko w *newspeaku*, jak i z tej racji, że partyjni mówcy do tego stylu się przyzwyczaili,

osadzili w nim, w istocie innego sposobu mówienia nie znają. Trudno zrezygnować ze stereotypów, klisz, utartych metafor, którymi operowało się przez lata i które miały swojego rodzaju moc obowiązującą. A więc nowomowa nie zaniknęła, zakres jej działania został jednak ograniczony. Złożyło się na to wiele względów. Po pierwsze, znacznie poszerzył się zespół mówców, znaleźli się w nim nie tylko partyjni wyjadacze, spędzający życie w gmachach komitetów. Po drugie, Zjazd obradował pod ciśnieniem rzeczywistości, a o tym, co rzeczywiste, trudno nowomową mówić, jest to przecież język ideologicznej fikcji. Po trzecie, na Zjeździe toczyła się wyraźna walka polityczna pomiędzy poszczególnymi frakcjami; można się zresztą domyślać, że była ona o wiele silniejsza na zamkniętych obradach niż w tym, co publiczności udostępniono. W pewnych przemówieniach wyraźne było staranie, by nie mówić utartymi stereotypami i według obowiązujących wzorców retorycznych. Niekiedy widoczna była wręcz stylizacja literacka. Pojawiały się też cytaty i aluzje literackie; najczęściej przytaczanym utworem było *Wesele*. Zwraçała uwagę większa kolokwialność; nawet Kania przemawiał bardziej potocznie niż jakkolwiek dotychczasowy pierwszy sekretarz.

Status społeczny mówców a sposoby mówienia. Trudno tu wskazać na regułę. Jak się zdaje, wyraźna jest różnica między robotnikami starszymi a młodszymi (przez starszych rozumiem tych w okolicach pięćdziesiątki). Młodszy mówią bez porównania sprawniej; ich mowa niczym już się nie różni od mowy inteligenckiej. Starsi byli na ogół nieporadni, nie panowali nad retoryką partyjną, ale też trudno im było się odwołać do jakichś innych wzorców mówienia. W ich mowie wyraźne były różne naleciałości środowiskowe. W jeszcze większym stopniu dotyczy to chłopów. W ich grupie różnice pokoleniowe mocno się zaznaczyły. Starsi mówili w sposób tradycyjnie chłopski, ten i ów posługiwał się nawet przypowieściami; naleciałości partyjne w tym chłopskim mówieniu kazały myśleć o sołtysie Kierdziołku, bohaterze znanego w latach sześćdziesiątych cyklu satyrycznych monologów radiowych Jerzego Ofierskiego. Chciałbym podkreślić, że status społeczny nie łączył się w sposób konieczny z takimi czy innymi sposobami mówienia. Wystarczy porównać, by się o tym przekonać, wypowiedź rozsądnego robotnika z Ciechanowca, Dobrowolskiego, z gadaniem Siwaka, który zresztą wszedł do najwyższych władz partyjnych. Siwak jest zjawiskiem odosobnionym — w każdym razie na tym Zjeździe. Jego styl, pod pewnymi względami niewątpliwie wyrazisty, jest stylem ubeckiego prymitywa. Przedmiejska cwaniackość łączy się

w nim z tradycją stalinowską. Osobnik ten chce za każdym razem demonstrować swą „proletariackość” i partyjność, chce się pokazać jako tzw. swój chłop i prawdziwy partyjny robociarz, któremu żywołowo obce jest to, co niekomunistyczne.

21 VII. 1981

Dyskurs ideologiczny partii — jesień 1981

Pisałem przed rokiem, że nagłe reaktywowanie słownictwa marksistowskiego i wysmażanie obszernych elaboratów o charakterze ideologicznym służyło sprowadzaniu tego, co nieznanego — do znanego, było próbą oswojenia zachodzących zmian, nadania im pożądanej formy, wyznaczania granic, a więc — zapanowania nad nimi. Próba ta się nie powiodła, ruch społeczny nie dał się zredukować do kształtów, jakie PZPR chciała mu nadać, nie dał się zredukować do końca nawet w samej partii. W konsekwencji ten typ dyskursu ideologicznego, jaki praktykowano tuż po Sierpniu, na dłuższą metę okazał się nieprzydatny, musiał się więc zmienić. Podejmując zadanie jego opisu w postaci, w jakiej obecnie występuje, jestem świadom, że partia nie ma w tej chwili jednolitego sposobu wypowiedzania się na temat tzw. ideologicznych pryncypiów, że występują w tej materii duże zróżnicowania, o czym świadczył IX Zjazd, a po nim — każde kolejne plenum. Rozpiętość jest rzeczywiście ogromna, od agresywnych oświadczeń Katowickiego Forum i przemówień działaczy w rodzaju Kociołka do tekstów przedstawianych przez światłych aktywistów z Torunia. W tej próbie opisu nie będą mnie jednak interesować przypadki skrajne, zajmę się wypowiedziami stanowiącymi zapis stanowisk pośrednich, najszerzej — jak się zdaje — reprezentowanych.

Ważnym czynnikiem, który określa obecnie charakter tego dyskursu, jest fakt, że sprawy ideologiczne w istocie nikogo niemal nie obchodzą. Nie obchodzą one społeczeństwa, co jest oczywiste, bo nie obchodziły nigdy, ale nie zajmują także większości partyjnych. Dla nich są ważne, co w pełni zrozumiałe w terażniejszej polskiej sytuacji, przede wszystkim kwestie praktyczne. Składa się na to wiele czynników. Posierpniowi przywódcy utrzymują, że Gierek ze swą ekipą rozbroił partię ideologicznie. Ta ideologia tak się zgrała, że samej partii staje się niepotrzebna w latach spokoju, pełni więc tę rolę, którą bez kłopotu pełnić może — rolę dekoracji. O tym, jak te sprawy są obojętne nawet członkom

najwyższych władz partyjnych, mówi brak reakcji na poświęcony sprawom ideologii referat Olszowskiego, przeszedł on niemal niezauważony. Więcej, sam referat niespójny, wypełniony frazesami, pozbawiony walorów perswazyjnych, potwierdza z dużą dobitnością moje tezy. Ów brak nawet partyjnego zainteresowania sprawami ideologicznymi określa w dużym stopniu właściwości dyskursu. Przede wszystkim znaczną w nim rolę grają te elementy, które określiłbym jako metaideologiczne. W wypowiedziach zarówno sygnowanych nazwiskami przywódców, jak i zawodowych ideologów, mówi się ze szczególną dobitnością, czym dla partii komunistycznej jest ideologia (najczęściej „busołą”), że bez niej nie może ona funkcjonować, lub wręcz — istnieć. Stąd — dalej — nawoływania, by niczego w tej dziedzinie nie zaniedbywać, że powstaje pilna konieczność wytężonej pracy ideologicznej, ideologicznego szkolenia itp. Że każdy członek partii powinien stać na straży jej ideologicznej czystości.

Wątki metaideologiczne mają świadczyć o kontynuacji tego, co dla ruchu komunistycznego najważniejsze i pod żadnym pozorem nie może zostać zaniechane. Rozważania tego rodzaju są zdumiewająco nijakie, nawet wtedy, gdy nieobce są im pohukiwania — i nie kontaktują z obecną sytuacją; nie można tu nie przypomnieć sławetnej formuły nieboszczyka Żdanowa: „bezzębny wegetarianizm”. Wydaje się zresztą, że przekonanie kogokolwiek nie stanowi bynajmniej celu dyskursu ideologicznego w jego obowiązującym teraz kształcie. Życie sobie (także życie partii), a gadanie o pryncypiach — sobie. Perswazyjność podporządkowana została rytualności. Słowo ideologiczne zrównało się w pełni ze słowem obrzędowym. Rytuał nie jest tu jednak czymś niewinnym, wynikającym tylko z ciężenia tradycji, mającej zapewnić to, co w języku partyjnym nazywa się tożsamością. Dyskurs ideologiczny ma stanowić wyraz i — zarazem — gwarancję prawomyślności tak poszczególnych działaczy, jak i partii jako całości. Ma być dowodem uczestnictwa we wspólnocie socjalistycznej, nieodstępowania od obowiązujących radzieckich wzorów.

Nie jest on niewinny z innego jeszcze punktu widzenia. Tadeusz Marczak w doskonałym artykule o nowomowie, opublikowanym w nrze 21 „Aneksu”, pisał o niej jako o szumie. Szum ten ma przeszkodzić wykryształizowaniu się innych, swobodnych form mówienia. I tę właśnie funkcję dyskursu ideologicznego spełnia doskonale, ma on bowiem nie dopuścić do kształtowania się innego rodzaju formuł ideologicznych — także w obrębie języka partyjnego. Ma narzucić ten sposób mówienia

jako jedyny i obligatoryjny. Dyskurs ten pełni taką rolę jak rytuał. Jednym z zadań obrzędu jest uniemożliwianie zachowań nieprzewidywalnych. Uczestnictwo w obrzędzie w jego wersji kanonicznej, nie naruszonej przez reformatorskie nowinki, staje się sygnałem prawowierności, należenia do wspólnoty wolnego od wszelkich wątpliwości, eliminującego możliwość jakiegokolwiek kwestionowania zasad, na których obrzęd ów działa.

Rytualny i pomyślany jako szum, dyskurs ten ma charakter konserwatywny. Konserwatywny nie dlatego tylko, że chce zachować ideologiczną tradycję bez poddawania jej jakimkolwiek zmianom, czy nawet — retuszom. Konserwatywny ze swej istoty. Polega to m. in. na tym, że w myśl tej koncepcji ideologia w swej oficjalnie akceptowanej, zeskorupiałej postaci jest czymś nadrzędnym wobec rzeczywistości. To nie ideologię podporządkowuje się ewoluującemu światu społecznemu, ale — przeciwnie — świat ów nagina się do ideologii. Działają tu uświęcone reguły marksistowskiego dogmatyzmu. Dogmatyzm ów nie pozwala na korygowanie ideologii nawet wówczas, gdy partia musi dostosowywać swe działania do realiów. Dyskurs ideologiczny odbiera partii w jakiejś przynajmniej mierze (niemałej, jak mi się wydaje) zdolność kontaktowania się z rzeczywistością. Ten konserwatyzm ma jednak także inną stronę, jego podstawową funkcją jest hamowanie procesu przemian. Teraz już nie chodzi o narzucenie mu sensów, które byłyby dla partii dogodne. Sprawą podstawową jest to, by ułatwiać osadzenie się w Okopach Świętej Trójcy, by w pewnych sprawach w ogóle ucinął możliwość dyskusji itp. Oglądany z pewnego punktu widzenia, dyskurs ten ma w dużym stopniu charakter defensywny. Za jego pośrednictwem partia broni się przed tym, co się dzieje, przed zmianami, niekiedy broni się tylko werbalnie, bo — zmuszona przez okoliczności — podejmuje decyzje wbrew własnemu dyskursowi ideologicznemu.

24 X 1981

Propaganda a terror

Mówi się, że najistotniejszą rzeczą w komunistycznej propagandzie jest to, że tworzy ona nową rzeczywistość, że buduje ją w słowie, nie biorąc pod uwagę stanów faktycznych. Taką teorię nowomowy głosi Roman Zimand. I ja się do niej po części przychyliam, podkreślając rolę, jaką w tym języku gra czynnik magiczności. Nie jest

teraz moim zamiarem rozpatrywanie tej teorii, zastanawianie się nad jej słusznością, nad tym, w jakiej mierze integruje ona podstawowe właściwości nowomowy. Chciałbym zwrócić uwagę na jedną rzecz zasadniczą. Propaganda może w słowie tworzyć fikcyjny dobrobyt (dobrobyt, o którym się mówi, ma być substytutem dobrobytu rzeczywistego), może ze słów komponować sprawną produkcję i dobrą robotę (co nagminne było za Gierka), nie może jednak czynić jednego: nie ma żadnych po temu danych, by z języka tworzyć fikcyjny terror, by zastępować represje — słowem. Wszystko może być imaginacyjne, aparat terroru musi być rzeczywisty. Wiadomo, że już w czasie rewolucji bolszewickiej Lenin zaczął budować ze słów świat fikcji — i aparat terroru. Dzierżyński działał, i miał działać, w świecie realnym; podobnie jak liczni następcy i naśladowcy — po dzień dzisiejszy.

Stosunek propagandy i terroru nie jest tylko relacją między fikcją a rzeczywistością. Propaganda ma terror osłaniać, chronić, upiększać, a także — motywować, jest więc przemocy potrzebna. Jednakże terror może się bez niej obyć, przynajmniej w pewnych momentach — gdy „idzie na całość”. Pewien typ propagandy zaś bez niego istnieć nie jest w stanie, więcej — w ogóle nie dane by mu było powstać. Od razu by się rozpadł, jak konstrukcja pozbawiona fundamentów. Realność terroru umożliwia propagandowe fikcje wszelkiego rodzaju, jest ich podstawą. Bez terroru z lat wielkich czystek nie do pomyślenia byłoby radosne, tryumfalne wręcz przemówienie Stalina z roku 1936 poświęcone nowej sowieckiej konstytucji, nie byłby możliwy jego ton, ale także poszczególne obietnice i stwierdzenia, urągające potocznemu doświadczeniu obywateli pierwszego kraju robotników i chłopów. Podobnie bez terroru stalinowskiego nie do pomyślenia byłaby działalność takich symboli propagandy początku lat pięćdziesiątych, jak Wanda Odolska (autorka komentarzy do sfingowanych procesów w stylu mów prokuratorskich Andrieja Wyszynskiego), czy Stefan Martyka (lektor „Fali 49”). Propagandzie komunistycznej lęk sterroryzowanego społeczeństwa jest niezbędny, przemoc jest właśnie jej tlenem i wodorem. Historyk z pewnością kiedyś dokładnie przedstawi, jak potęgowanie terroru (bądź jego łagodnienie) wpływało na zmiany stylu i metod propagandy.

A co się dzieje z propagandą w komunistycznym państwie, w którym w pewnym momencie duża część społeczeństwa uwalnia się od lęku? Uwalnia nawet nie dlatego, że terror zmalał, a jego aparat został wydatnie zmniejszony. Jak wiadomo, za czasów Gierka systematycznie

go rozbudowywano, niemniej tak się sprawy potoczyły, że władze nie mogły już swobodnie się nim posługiwać. Aparat ów mógł niepokornych molestować, niekiedy nawet prześladować, nie był już jednak w stanie tak funkcjonować, jak za dawnych dobrych czasów. Waldemar Kuczyński ogłosił niedawno w „Tygodniku Solidarność” doskonały artykuł, w którym twierdzi, iż fakt, że Polacy przestali się bać, ma zasadnicze znaczenie polityczne i decydująco wpływa na bieg wydarzeń. Społeczeństwo zalęknione nie byłoby w stanie dokonać tego, co w Polsce się stało od Sierpnia, nie byłoby w stanie uczestniczyć w tym, co stale się dzieje. W państwie, w którym społeczeństwo wyzbyło się strachu, aparat terroru staje się bezradny i w dużej mierze dla partii nieużyteczny — w każdym razie do momentu, gdy władza postanawia pójść na całego. To prawda, od czasu do czasu partia decyduje się na użycie tego aparatu; dowodem wydarzenia ostatnich tygodni: najście na mieszkanie Kuronia, atak na Szkołę Pożarniczą, incydenty z samochodami „Solidarności”, z których w Katowicach i we Wrocławiu sprzedawano niezależne wydawnictwa. Są to wydarzenia, których nie sposób lekceważyć, ale jednocześnie nie mają one tej wymowy, co podobne posunięcia z lat dawnych. Te pokazy siły, mające świadczyć o zdecydowaniu władz, strachu jednak nie budzą, wywołują zaś protesty, stają się przedmiotem publicznej riposty. Co się więc dzieje z propagandą komunistyczną w kraju, w którym społeczeństwo od lęku się wyzwoliło, w którym aparat terroru nie może działać tak, jak w innych państwach realnego socjalizmu? Jest to kwestia wielkiej wagi dla opisu obecnej propagandy partyjnej. Szybko zdano sobie sprawę, że postać, jaką nadał jej Łukaszewicz w gierkowskim dziesięcioleciu, nie przylega do nowej sytuacji, natychmiast po Sierpniu „propagandę sukcesu” odrzucono. Nie tylko dlatego, że ta fikcja nie dała się kontynuować, choć i ten взгляд był nie bez znaczenia. Z partyjnego punktu widzenia ten styl propagandowy przestał być funkcjonalny, tym bardziej, że — częściowo z tej racji, że już mocno zużyty — służył bardziej usypianiu społeczeństwa niż jego mobilizowaniu (na propagandę usypiającą partia stawia przede wszystkim w momentach stabilizacji). W artykule przeznaczonym dla „Tygodnika Solidarność” twierdzą, że w obecnej propagandzie działa podobny mechanizm co w dawniejszej, z tą różnicą, że przedtem tworzono pozytywny świat na pokaz, teraz zaś — równie fałszywy, ale negatywny. Propaganda, agresywna, nie licząca się z realiami, konstruująca straszny pokazowy świat, nie może się już opierać bezpośrednio na terrorze, sama ma się stać formą terroru.

Terror psychologiczny zajmuje miejsce dotychczasowego terroru materialnego. Skoro lęku nie wywołują rozbudowane oddziały milicji, kohorty tajniaków, instytucje, których jedynym celem jest trzymanie społeczeństwa za mordę, podsłuchy i inwigilacje, trzeba stosować inne metody i inne środki. Szerzeniu lęku ma służyć propaganda, przejęła więc ona funkcje terroru. Dzisiejsi propagandyści z wydziału KC, który zajmuje się tymi sprawami, a także tabuny usłużnych wykonawców, choćby dziennikarze pichcący trzy razy w ciągu dnia dziennik telewizyjny, przejęli w jakiejś mierze funkcje bezpieczeniaków. Funkcjonalnie pani Falska, odpychająca lektorka dzienników telewizyjnych, jest odpowiednikiem pani Bristigerowej, czy wręcz — panią Bristigerową na miarę naszych czasów. To prawda, jest ona tylko nędzną wykonawczynią czyichś poleceń, lektorką tekstów, których sama nie napisała. Ale właśnie ją opinia publiczna utożsamiała z tym stylem propagandy. To, co nazywam nadwyżkami interpretacyjnymi, służy właśnie terrorowi psychicznemu i ma wywołać strach, ma budzić w społeczeństwie stany lękowe. Czynnikiem terroru jest katastroficzne słownictwo, więcej — stają się nim także wyliczenia statystyczne. Poczucie strachu przed strajkami mają wywoływać liczby informujące o stratach, liczby — jak udowodniono w prasie „Solidarności” — od początku do końca fantastyczne. Propaganda ta, tworząc lęk, ma przywołać społeczeństwo do porządku, a więc — do bezwolności i posłuszeństwa. Ten cel jest wyraźny, do tego zmierzają promotorzy tego rodzaju propagandy, przejmującej funkcję terroru (nie stanowi tajemnicy, że głównym animatorem i opiekunem tego rodzaju propagandy jest Olszowski; można by powiedzieć, że funkcjonalnie, w obecnym polskim położeniu, jest odpowiednikiem Bermiana). Polak znowu ma się bać. Agresywna propaganda tego rodzaju, oparta na kłamstwach, insynuacji, demagogii, przede wszystkim denerwuje i budzi opór. Tak jednak na nią reagują głównie ci, którzy od lęku się wyzwolili. Byłoby przesadą powiedzieć, że w Polsce wszyscy przestali się bać. Boją się zwłaszcza ludzie starsi, boją się wszystkiego. Nauczyły ich strachu doświadczenia pokoleniowe, przeszli okupację, mają za sobą lata stalinowskiego terroru. Wydaje mi się, że na tę formę propagandy odpowiadają po myśli jej organizatorów przede wszystkim emeryci.